Rozmaitości

Dnia 21. Maja **Nr 21.** 1836 Roku.

POSAG PIERRETTY.

OPOWIADANIE STAREGO ADJUTANTA.

Z dzieła: *Grandeur et Servitude militaires*, przez hr. Alfr. de Vigny.

Piérwsze moje wychowanie odebrałem we wsi Montreuil od miejscowego plebana. W najszczęśliwszéj dobie mojego życia nauczył on mię kilka not z chorału, w owéj dobie, kiedy byłem jeszcze chłopięciem od chóru, z tłustémi, kwitnącémi i pełnémi policzkami, które w każdym chęć wzniecały, aby mię uszczypnął, kiedy miałem głos czysty, jasne, upudrowane włosy, i bluzę i drewniane trzewiki. Najmilszą moją zabawą był klawikort, który tak był rozstrojony, i tak przeraźliwe wydawał dźwięki, że zaledwie na to zasługiwał nazwisko. Wszelako dosyć nie źle grałem na tym instrumencie; dobry ten pleban, niegdyś słynący w kościele *Notre Dame* ze śpiéwu psalmów, uczył mię podług starego Solfeggio. Jeżeli był zadowolony, szczypał mię w policzki aż posiniały, i powtarzał: »Słuchaj Mathurin, wprawdzie jesteś tylko synem włościana i włościanki, ale ucz się tylko swego katechizmu i Solfeggio, i nie baw się zardzewiałą rusznicą, a możesz wyjść na mistrza w muzyce. Postępuj zawsze, postępuj!...« To mi dodawało odwagi; obiema pięściami biłem w klawisze, że prawie wszystkie oniemiały.

W pewnych godzinach otrzymywałem pozwolenie wychodzić na przechadzkę; największą miałem uciechę usiąść sobie na końcu parku Montreuil, i podwieczorek swój pożywać z mularzami i robotnikami, którzy przy alei Wersalskiéj, o sto kroków od rogatki, na rozkaz królowéj budowali mały pawilonik na muzykalne rozrywki. Byłoto powabne miejsce po prawéj stronie gościńca, idącego do Wersalu. W środku przestrzeni, okrytéj murawą, podobny do meczetu, lub do bonbonnierki, otoczony wysokiemi drzewy, stał ten pawilon na samym końcu parku Montreuil.

Tam zwykłem był przypatrywać się budowaniu; tam zwykłem był prowadzić za rękę małą dziéwczynkę równego ze mną wieku, nazwiskiem Pierrette, którą ksiądz pleban dla pięknego głosu również śpiéwać przyuczał. Przynosiła ona zwykle spory kawał placka od swojéj matki, a gospodyni plebana, i tak oboje przypatrywaliśmy się stawianiu tego pałacyku.

Pierrette i ja zaledwie mieliśmy po lat trzynaście. Ona była już tyle powabną, że się zatrzymywano na drodze, aby jéj coś grzecznego powiedziéć, a nie raz nawet widziałem znakomite damy, wysiadające z powozu, aby się z nią nabawić i ucałować ją. Przewidywano już, jaka z niéj piękność będzie, lecz ona ani myślała o tém, i kochała mię jak rodzonego brata. Od najpiérwszych lat dziecięcych, wychodząc na przechadzkę, zawsze trzymaliśmy się za dłonie, co tak w nałog nam weszło, żem jéj ręki i potém nigdy nie brał pod ramię.

Podczas naszych codziennych odwiédzin u robotników, zabraliśmy znajomość z pewnym kamieniarzem, o jakie 8 lub 10 lat starszym od nas. Często sadzał on nas na głazie lub na ziemi koło siebie; kiedy miał spory kawał do przepiłowania, natenczas Pierrette lała wodę na piłę, a ja brałem za drugi jéj koniec; byłto najlepszy mój przyjaciel w świecie. Miał on uprzejmy, łagodny charakter; niekiedy, lecz bardzo rzadko, bywał wesoły. Ułożył on małą, pocieszną piosenkę, gdzie wszystko ściągało się do Pierretty. Byłto chłopak duży, blady i ułomny, z długiémi rękami, na wysokich nogach; najczęściéj zdawał

się nie myśléć o tém, co robił. Rzemiosło swoje lubił, ponieważ, jak powiadał, może sobie uczciwym sposobem na chléb zarobić, a przytém aż do zachodu słońca innémi się bawić myślami. Ojciec jego, budowniczy, tak był podupadł, że syn od początku musiał jąć się tego rzemiosła, któremu się potém całkiem poświęcił. Ilekroć miał wielką bryłę przerzynać, lub pozdłuż przepiłowywać, zaczynał zawsze piosneczkę, opiéwającą jaką historyję, która mogła, sądząc po czasie, dwadzieścia lub trzydzieście zwrotek zawiérać. Częstokroć mnie i Pierretę stawiał przed sobą, abyśmy razem spiéwali, i tak uczył nas dwuspiéwu; potém ku jego zabawie musiałem klękać przed Pierrettą, a do tego on dorabiał słowa jakiéjś sceny, któreśmy za nim powtarzali. Wszystko-to nie przerywało mu w zajmowaniu się pracą; w rok potém wyszedł na majstra. Kątomiérzem i młotkiem miał do wyżywienia ubogą matkę i dwóch małych braci, przychodzących często dla widzenia jak pracował. Przybywało mu ochoty i wesela, gdy widział swój mały świat, zgromadzony około siebie. Nazywaliśmy go panem Michałem, on zaś nazywał się Michał Jan Sedain.

Ksiądz pleban z Montreuil czule mię kochał; obchodził się ze mną z taką przyjaźnią ojcowską, że zupełnie, chociaż on ciągle mi to przypominał, zapomniałem o pochodzeniu mojém z biédnych wyrobników, których wcale nie znałem, bo wkrótce po mojém przyjściu na świat, pomarli na ospę. Z szesnastym rokiem byłem jeszcze nieokrzesany i głupi; przecież trochę rozumiałem po łacinie, dosyć muzyki, i z resztą wszystko co do ogrodnictwa należy. Dni moje upływały cicho i szczęśliwie, Pierretta zawsze była ze mną, przy pracy ciągle w nią patrzałem, chociażem mało co mówił.

Pewnego razu, gdym w parku gałązki z buku obcinał i składał w wiązeczkę, rzekła Pierretta: »Ach, Mathurin! mnie coś straszno. Z końca alei nadchodzą jakieś dwie piękne damy. Cóż poczniemy?« Spojrzałem i postrzegłem w rzeczy samej dwie młode panie, które spiesznie biegły po suchych liściach. Jedna w różowej jedwabnéj sukni, była cokolwiek słuszniejszą od drugiéj. Więcéj biegła, niż szła, a druga, jéj towarzyszka zostawała się za nią. Mnie, dzikiego wiejskiego chłopaka, jakby przez instynkt, wzięła trwoga. »Uciekajmy!« rzekłem do Pierretty. Lecz napróżno! Nie mieliśmy już czasu, a moja trwoga tém więcéj się wzmogła, gdy różowa dama dała znak Pierrecie, aby z miejsca nie ważyła się ruszyć; dziéwczyna pomieszana, schwyciła mię za rękę i trzymała się z całéj siły. Zdjąłem czapkę, i drżący oparłem się o drzewo. Różowa dama przyskoczyła do Pierretty, wzięła ją łaskawie za podbródek, pokazując ją drugiéj damie, i rzekła:

»A, czyż nie mówiłam, że to jest *kostum* dla mleczarki na przyszły czwartek. Jakie piękne dziecko. Moja maleńka, wszystkie te suknie, które masz na sobie, oddasz ludziom, którzy w mojém imieniu przyjdą po takowe, czy zgoda? Za to przyszlę ci moje własne.«

»Och, Pani!« rzekła Pierretta uchylając się. Druga dama na to uśmiéchnęła się z wyrazem tkliwym, melancholijnym, który nigdy z mojéj nie wyjdzie pamięci. Z głową schyloną zbliżyła się do Pierrety, wzięła ją za rękę, mówiąc jéj, aby się nie opiérała; albowiem wszyscy muszą woli téj damy ulegać.

»Tylko nic nie odmieniaj w swym stroju, moje piękne dziecko;« mówiła różowa dama, pograżając cieniutką laseczką, na któréj końcu była złota gałeczka w kształcie jabłka. »Ten chłopak będzie żołniérzem, a ja go potém z tobą ożenię.« Ona była tak piękną, tak piękną, że dotąd pamiętam, jaką czułem w sobie żądzę upaść przed nią na kolana. Smiać się będziesz, ja sam często z tego się śmiałem, ale gdybyś ją był widział, zrozumiałbyś wrażenie moje. Całkiem wyglądała jak mała, dobroczynna czarodziejka. Mówiła prędko i wesoło, pogłaskała Pierretę po licach, i zostawiła nas pomieszanych. Widzieliśmy jak poszły aleą ku Montreuil, i jak zniknęły w parku za małym laskiem.

Pojrzawszy po sobie, i ciągle trzymając się za ręce, wróciliśmy do plebana. Byliśmy tak szczęśliwi, żeśmy milczeli oboje. Pierretta płonęła rumieńcem, a ja spuszczałem oczy.

Pleban zapytał nas, co się stało, odpowiedziałem poważnie: »Mości plebanie, zostanę żołniérzem.«

Byłto niespodziéwany cios dla niego; dla niego, który mię nót poznawać nauczył.

»Jako, kochane dziecko moje, chciałżebyś mię porzucić?« zawołał. »Ach, Boże mój! Cóżto mu zrobiono takiego, Pierretto, że chce żoł-

niérzem zostać? Czy mię już nie kochasz Mathurin? Czy i Pierretty także nie kochasz? powiedź, cośmy ci złego zrobili? W cóż się obróci piękne wychowanie, które ci dałem? miałżebyto być czas stracony. Odpowiedźże ladaco!« dodał i wstrząsnął mię za ramię.

Poskrobałem się w głowę i rzekłem, ciągle wlepiając oczy w moje drewniane trzewiki: »Chcę być żołniérzem.«

Matka Pierretty przyniosła szklankę zimnéj wody dla plebana, który był zgrzany i na pół rozkwilony. Pierretta płakała także i nic nie śmiała mówić, wiedząc, że tylko dla tego chciałem to uczynić, aby otrzymać jéj rękę.

W téj chwili weszło dwóch długich upudrowanych lokai z panną pokojową, która nadawała sobie ton znakomitéj damy, i zapytała Pierretty, czyli przygotowała te suknie, jakich żądała od niéj królowa i księżna Lamballe.

Pleban powstał tak poruszony, że nie mógł utrzymać się na nogach; Pierretta i jéj matka tak drżały, że nie miały nawet odwagi otwotrzyć kuferka, w którym jéj suknię i stroik na głowę przysłano, i poszły do toalety, jakby na rusztowanie.

Kiedy pleban ze mną sam na sam został, zapytał co się to dzieje, a ja powiedziałem mu wszystko. »Dla tegożto chcesz odjeżdzać?« zapytał, i wziął mię za ręce. »Ale pomniéj, mój synu, że największa pani w Europie, tylko w roztargnieniu mogła tak mówić do prostego człowieka, a teraz nie pamięta nawet, co mówiła. Gdyby jéj doniesiono, żeśto wziął sobie za rozkaz, albo za dobrą wróżbę, powiedziałaby, żeś wielki półgłówek; a choćbyś całe życie został ogrodnikiem, to dla niéj rzecz obojętna. Nikt ci tego nie odbierze, mój przyjacielu, coś się nauczył w ogrodnictwie i wokalnéj muzyce, gdy tymczasem to, co w pułku zyskasz nie twojém będzie, bo tysiąc znajdziesz sposobów roztrwonić to na uciechy, przeciwne religii i moralności; wszystkie wyborne zasady, które w ciebie wpajałem, w niwecz się obrócą, a mnie tylko wstydu przyczynisz. Jeżeli kiedy powrócisz, to już nie z tym charakterem, z którymeś na świat przyszedł. Byłeś łagodny, skromny, pojętny, powrócisz nieokrzesanym, ograniczonym, włóczęgą. Pierretta zapewne nie zechce się połączyć z zepsutym próżniakiem, a choćby i chciała to uczynić, matka jéj nie zezwoli; cóż ci wtedy pomogę, jeżeli się wyprzesz Opatrzności? A ty wyprzesz się Opatrzności! patrzaj, do czegoto przyjdzie!«

Ciągle jeszcze patrzyłem w swoje drewniane trzewiki, marszcząc czoło, krzywiąc usta, i rzekłem: »Cóż robić, przecież zostanę żołnierzem!« Dobry pleban nie upiérał się dłużéj przy swojém zdaniu, otworzył drzwi na oścież, i smutną twarzą wskazał mi gościniec. Zrozumiałem, i odszedłem. Na jego miejscu byłbym to samo uczynił. Tak myślę teraz, dawniéj inaczéj myślałem. Na prawe ucho nałożyłem moję bawełnianą czapkę, kołniérz od bluzy podniosłem do góry, a wziąwszy kij, udałem się do szynku przy alei Wersalskiéj, nie pożegnawszy się z nikim.

W szynku zastałem trzech zuchów ze złotémi galonami u kapeluszy, z różowémi wyłogami przy białych mundurach, z wyczernionémi wąsami, i grubo napudrowanémi włosy. Ci trzéj bylito werbownicy, a języki tak u nich latały, jak u przekupek. Zaprosili mię, abym z nimi zasiadł przy stole, powiadając, iż tym sposobem nabiorę jasnego wyobrażenia o szczęściu, jakiego nieustannie używają w swoim pułku Royal Auvergne. Częstowali mię pieczenią sarnią i kuropatwami, nalewali bordo, szampana, i podawali wyborną kawę, i klęli się na własny honor, że w pułku Royal Auvergne zawsze tych samych przysmaków używać będę. Już zacząłem był miarkować, że nie wszystko to prawda, co oni mówili. Oni klęli się duszą a ciałem — zaklinania ich nie miały granic: że przy Royal Auvergne najsłodsza panuje swoboda, że w tym pułku żołniérze nieporównanie są szczęśliwsi, niż w innym kapitanowie, że można tam znaleźć towarzystwo najprzyjemniéjsze mężczyzn i kobiet, że tam bardzo oddają się muzyce, i że ci, którzy na fortepianie grać umieją, w największéj są cenie. Ostatni ten argument dobił mię.

Nazajutrz miałem zaszczyt być żołniérzem w pułku Royal Auvergne. W rzeczy saméj byłto bardzo piękny korpus, lecz nie było tam ani Pierrety, ani księdza plebana. Chciałem jeść kapłuna, a mnie podano ów przyjemny bigos z kartofli, baraniny i chleba, zwany podówczas i dziś zapewne, *la ratoutille.* Wyuczono mię musztry prostego żołniérza i plutonowéj, nabijania spiesznego na 12 tempów, i robienia bronią z poruszeniami i bez poruszeń. —

W końcu zaszczycono mię także przyrzeczeniem, że gdy się dobrze sprawować będę, przeniesionym zostanę do piérwszéj grenadyjerskiéj kompanii. Wkrótce przyprawiono mi upudrowany *harcop*, który w bardzo szlachetny sposób na moje białe plecy spadał; ale nie widziałem już ani Pierretty, ani jéj matki, ani plebana z Montreuil, anim dotknął ulubionego klawikortu.

Pewnego poranku, kiedy za trzy błędy w robieniu bronią wskazano mię, abym stał w postawie strzelca z piérwszego szeregu, t. j: abym ukląkł jedném kolanem na bruku; przede mną świéciło spaniałe, ćmiące słońce, w które ja nieruchomy musiałem celować karabinem, aż dopóki mi ręce nie zemdlały; zacny mój kapral dodawał mi odwagi, od czasu do czasu laską swoją, podbijając mój bagnet, ilekroć na dół opadał. Byłato maleńka kara wynalazku pana St. Germain.

W takiéj postawie wytrzymałem może już jakie dwadzieścia minut w największém omdleniu, gdy w tém na końcu karabina postrzegłem łagodną i przyjemną postać mego przyjaciela Michałka kamieniarza. »W porę przybywasz przyjacielu,« rzekłem do niego, »największą wyrządziłbyś mi usługę, gdybyś swoją laseczkę tak, aby nikt nie postrzegł, na chwilę pod mój bagnet podstawił. A wtedy i moim rękom będzie ulga, i twéj laseczce nic złego się nie stanie.«

»Ach! Mathurin, przyjacielu!« odrzekł na to; »ciężkoś ukarany, żeś Montreuil porzucił;... nie słyszysz więcéj poczciwych nauk i rad dobrego plebana, zapominasz muzykę, w któréj tyle miałeś upodobanie, a ten mundur i te parady pewnie ci nie wynagrodzą tego.«

»Mniéjsza z tém,« rzekłem, podnosząc karabin do góry, przezco wytrąciłem mu w gniewie laseczkę, »mniéjsza z tém, każdy ma swoje widoki.«

»Nie będziesz więcéj pielęgnować z twoją hożą Pierretą szpalerów i sadzawek w Montreuil.«

»Mniéjsza z tém... każdy ma swoje widoki.«

»Długo będziesz musiał strzelać do słońca z twego karabina, za nim kapralem zostaniesz.«

»Mniéjsza z tém, choć pomału będę się posuwał, a przecież się posunę: bez pracy nie będą kołacze, powiada przysłowie. Niech tylko zostanę sierżantem, zyskam znaczenie i Pierretę. Sierżant to pan... respekt przed panem!«

Michałek westchnął. »Ach Mathurin, nie roztropnie czynisz,« zawołał; »jesteś za dumny i chciwy sławy; nie życzyłżebyś znaleźć jakiego zastępcę, gdyby ci ktoś takowego zapłacił, abyś twoję Pierretę mógł poślubić.«

»Michałku! Michałku!« odrzekłem, »ach, jakże wpadłeś w zepsucie światowe. Nie wiém, co cię tu sprowadza: nie wyglądasz mi więcéj na kamieniarza, bo zamiast kaftana nosisz czarną jedwabną suknią, a pewnie nie byłbyś mię na to namawiał wtenczas, gdyś lubił powtarzać: »Każden powinien być twórcą swojego szczęścia. Nie chcę posiąść Pierrety za cudze pieniądze; sam będę twórcą swojego szczęścia, jakto widzisz. Oprócz tego sama królowa nabiła mi tém głowę, a królowa oszukać się w tém nie może, co człowiekowi pożytek przynosi. Wszakże sama wyrzekła: Bądź żołniérzem, a ja was pożenię.«

»Gdyby ci zaś królowa przypadkiem dała sposób do ożenienia się z Pierrettą, czyliżbyś ten dar odrzucił.«

»Nie inaczéj, nie przyjąłbym jéj pieniędzy.«

»A gdyby Pierretta sama swój zarobiła posag?« zagadł Michałek.

»W takim razie, ożeniłbym się z nią, Michałku.«

Poczciwiec ten do głębi był wzruszony. »Dobrze więc; wszystkoto opowiém królowéj.«

»Jako, czyś u niéj za błazna, czy za lokaja?« odrzekłem.

»Ani jedno, ani drugie, mój Mathurin, chociaż już więcéj nie kuję kamieni.«

»Cóż więc kujesz?«

»Ha! oto sztuki do teatru.«

»Ba!... czy podobna!«

»Nie inaczéj; robię maleńkie, bardzo proste, bardzo łatwe sztuki. Wszystko ci to kiedyś pokażę.«

»Chwała Bogu! témci lepiéj, wolę stokroć, że przy tém pracujesz, niż przy kamieniach.«

»Ach to, com wówczas budował, więcéj było warte, niż to, co dzisiaj buduję. Tamto nie podlegało żadnéj modzie, stało niewzruszone...«

»A jam rad z mojego losu,« odrzekłem. »To się znaczy...« chciałem dodać, gdy w tém kapral tak wyciął w laseczkę mego przyjaciela, że odleciała daleko, i natychmiast wyznaczył sześć dni aresztu dla szylwacha, który obcego do koszar wpuścił.

Sedain widział, że trzeba było odejść, podniósł spokojnie swoję laseczkę i rzekł do mnie: »Zapewniam cię Mathurin, że to wszystko opowiém królowéj.«

Moja mała Pierretta byłato piękna dziéwczyna, jednostajnego, spokojnego i poczciwego charakteru. Nie można było lada czém ją zastraszyć, a od chwili, w któréj rozmawiała z królową, nie pozwalała, aby nad nią przewodzono; bez wszelkiéj ogródki oświadczyła plebanowi, i jego gospodyni, że musi pójść za Mathurina, i wstawała w nocy, aby zarabiać na posag.

Pewnego dnia, kiedy siedziała przed domkiem plebana, zajęta robotą i nucąca piosneczki, postrzegła pojazd spaniały z sześcią końmi w pozłocistych szorach, z dwoma małymi, różowymi pocztylijonami, zajeżdżający na dziedziniec; pocztylijony byli tak zgrabni, tak mali, że z daleka tylko ich palone bóty widać było, mieli ogromne

bukiety u piersi, i konie także około uszu postrojone w bukiety. I oto koniuszy, przodem jadący, zatrzymuje się przed drzwiami plebana, i pojazd równie był tak grzeczny, że się zatrzymał, i otworzył, ale nikt w nim nie siedział. Pierretta wypatrzyła się; koniuszy zdejmuje po dworsku kapelusz, i zaprasza ją, aby do powozu wsiadła. Czy może powié kto, że się Pierretta wzbraniała... o bynajmniéj!« do tego aż nadto była rozsądną. Zdjęła tylko swoje drewniane trzewiki, ozuła inne ze srébrnémi sprzączkami, a wsiadając do powozu, oparła się na ramieniu lokaja, jak gdyby przez całe życie nie wsiadała inaczéj.

Opowiadała mi często, że w czasie téj jazdy dwojakiego nabawiła się strachu: raz, że powóz tak prędko pędził, iż drzewa alei Montreuil jak szalone uciekały jedne za drugiémi; drugi raz, usiadłszy na białych podusżkach powozu, zdawało się jéj, że pozostawia na nich niebieskie i żółte plamy, że swojéj spodniczki; dla tego też przez całą drogę siedziała na saméj krawędzi.

Czuła ona, że w takich okolicznościach potrzeba się zastosować do świata, dla tego też umiała zachować ton przyzwoity, dla tego przyjęła rękę, którą jéj podał koniuszy, i śmiało weszła w złociste salony w Trianon, gdzie ciągle chodziła na palcach, z obawy, aby gwoździami trzewików nie wydeptać znaków na posadzkach z cytrynowego i indyjskiego drzewa. W ostatnim pokoju posłyszała jakieś ciche, wesołe chichotanie dwóch miękkich głosów; co ją tak przeraziło, że serce mocno jéj bić zaczęło, wszedłszy tam, uspokoiła się. Byłato bowiem jéj przyjciółka — królowa.

Pani Lamballe obecna także, siedziała pod oknem przy malarskim pulpicie, na którym leżały pęzle i kość słoniowa, i obok stała szklanka wody.

»Ach, otoż i ona!« wykrzyknęła królowa, i poskoczyła wziąć ją za ręce. »Jak świéżo, jak ładnie wygląda! piękny wzór do miniatury. Zrób ją tylko podobną, moja Lambelle! usiądź dziécię!« I zachwycająca Maryja Antoinetta posadziła ją na krześle.

»Uważ tylko, jak ona dobrze się trzyma,« mówiła daléj królowa. »Nie trzeba jéj nic po dwa razy mówić, założę się, że ma rozum. Trzymaj się prosto i słuchaj co ci powiém, moje dziecko: Przyjdą tu dwaj panowie. Czy ich znasz, lub nie, mniéjsza oto, niech cię to nic nie obchodzi. Wszystko będziesz robić, co ci rozkażą. Wiém, że umiesz spiéwać, będziesz spiéwała. Kiedy ci każą wejść, lub odejść, będziesz wchodzić lub odchodzić. Czy rozumiesz? wszystkoto na dobre ci wyjdzie. Ta pani i ja będziemy tym panom do pomocy w nauczeniu cię czegoś, a za nasze trudy nie żądamy więcéj, jak tylko, abyś codzień jednę godzinę przed tą damą siedziała; nie prawdaż, że to dla ciebie nie trudno?«

Cała odpowiedź Pierretty była to w rumieńcu, to w bladości; uczuła się tak szczęśliwą, żeby z duszy ową malutkę królowę była przycisnęła do serca, jak najlepszą towarzyszkę.

Spojrzawszy ku drzwiom, postrzegła dwóch mężczyzn wchodzących, jeden był otyły, drugi wysoki. Na widok wysokiego nie mogła wstrzymać się od wykrzyku: »A to on!« Lecz przygryzła sobie usta, i milczała.

»No, jakże znajdujecie, mości panowie,« rzekła królowa; »czyżem się zawiodła?«

»Nie czystaż to *Róża*?« rzekł Sedaine.

»Pozwoli Pani jednę tylko niech zaspiéwa nótę;« mówił grubszy mężczyzna, »a zaraz poznam, czy taka jak Sedaina będzie i Monsignego *Róża*? A teraz, moja maleńka, powtarzaj za mną te nóty,« dodał Gretry: »*Ut, re, mi, fa, sol!* (spiéwając).«

Pierretta powtarzała.

»Przecudny głosek!« zawołał Gretry.

Królowa klasnęła w ręce i wyskoczyła radośnie: »Pewną jestem, że zarobi sobie na posag«

Od chwili odwiédzin Michałka w Vincennes, który mię zastał w postawie piérwszego szeregu, śmiésznym sposobem zacząłem chudnąć, bo już nie słyszałem więcéj o mojéj rodzinie w Montreuil, i już przypuszczałem, że o mnie zapomniała Pierretta. Pułk Auvergne od trzech miesięcy stał już w Orleanie, tęsknota za miejscem rodzinném zaczęła mię dojmować. Widocznie wynędzniałem, żem i broni nie mógł udźwignąć. U towarzyszów poszedłem w pogardę, bo w wojsku każda choroba pogardę ściąga. Jednym zdawało się, że mię za nic miéć powinni dla tego, iż mię za słabowitego mieli, drugim zdawało się znowu, że udaję; w ostatnim razie nic mi nie zostało, jak umrzéć, aby dowieść, iż prawdę mówiłem; lecz, o smutne położenie! nie mogłem ani tak prędko ozdrowić, ani tak zachorować, abym już raz skończył.

Pewnego dnia oficér z mojéj kompanii znalazł mię, i rzekł do mnie: »Mathurin, wszak umiesz czytać, przeczytaj no mi;« i zaprowadził mię na plac *Joanny d'Arc*, plac wielce mi drogi, gdzie czytałem afisz następujący:

»Na rozkaz. W przyszły poniedziałek dane »będzie nadzwyczajne przedstawienie *Ireny*, nowéj »sztuki przez P. Voltaire, poczém nastąpi *Róża* »*i Colas*, przez P. Sedaine, muzyka przez »P. Monsigny, na dochód Panny Columbe, sławnéj spiéwaczki z teatru włoskiego, która w drugiéj sztuce wystąpi... *Najjaśniejsza królowa* »przyrzekła zaszczycić to przedstawienie obecnością swoją.«

»Panie kapitanie,« rzekłem, »i cóż mię to obchodzi?«

»Dobry z ciebie człowiek,« odpowiedział, »i przystojny chłopiec, każę cię ufryzować i upudrować, abyś stał na warcie u drzwi loży królowéj.«

Jak rzekł, tak się i stało. W godzinię rozpocząć się mającego teatru, postawiono mię w paradnym mundurze pułku Auvergne w sieniach, śród wieńców i kwiatów, ktorémi wyścielono wszystkie wschody. Dyrektor z zachwyconą, radosną twarzą krzątał się i biegał. Byłto mały, przysadkowaty, gruby, z czerwonym nosem mężczyzna, w jasno-niebieskim jedwabnym fraku, z wielkiémi kolistémi żabotami. Biegający jak żywe srébro, co chwila wychylał się z okna i wołał: »Oto liberyja księżny Montmerency; *laufer* księcia Lauzun; teraz nadjeżdża książę Guemenée; za nim pan Lambesc!... Ach, jakże królowa jest dobra! ach jak dobra!« Bez pamięci prawie biegał i szukał pana Gretry; tuż koło mnie uderzyli o siebie.

»Powiedz mi wćpan, panie Gretry, kochany Gretry, czy nie mógłbym z sławną mówić spiéwaczką, którą mi wćpan przywozisz? profanom nie wolno jest wątpić o jéj talencie, ale od wćpana chciałbym się dowiedzieć, czyli królowa z niéj zadowoloną będzie? Wszakże żadnéj nie robiono próby?«

»He! he!« odrzekł Gretry szydebnie, »o tém nie mogę wćpana zaręczyć, ale to pewna, że jéj widzieć nie będziesz. Spiéwaczka taka, jak ona, to niewidzialny ptaszek, mój panie; ujrzysz ją jak stanie na scenie. Z tém wszystkiém jestto kto inny, nie panna Columbe, cóż wćpanu do tego?

»Jako mości panie, mnie... dyrektorowi teatru w Orleanie... co mnie do tego?« odpowiedział nadymając policzki.

»Nie inaczéj, wćpanu nic do tego,« rzekł Gretry. »Jak powątpiéwać możesz na chwilę o talencie, za którym Sedaine i ja ręczymy.«

Jakże mi przyjemnie było słyszeć to nazwisko, wyrzeczone z taką ważnością, i odtąd więcéj na wszystko zwracałem uwagi.

Dyrektor, człowiek rozumiejący się na swojém rzemiośle, chciał z okoliczności korzystać: »Jako, więc mię tu za nic nie mają? Jakżeżto ja wyglądam? Z największą radością wypożyczyłem mój teatr... szczęśliwy, że będę mógł dostojną oglądać królowę, która...«

»*A propos*,« przerwał Gretry, »trzeba wćpanu wiedzieć, że królowa przyrzekła ofiarować wćpanu połowę téj summy, jaką dochód z teatru przyniesie.«

Dyrektor, w tył się cofając, ukłonami wyrażał wysoką radość, jaką mu ta wiadomość sprawiła.

»Co więcéj,« mówił daléj Gretry, »wćpana chcą zrobić dyrektorem włoskiéj komedyi w Paryżu. Cały Paryż brzmi pochwałami dla wćpana; z tego powodu królowa była ciekawą widziéć jego teatr. Dyrektor jest duszą wszystkiego; z niego wytryska jenijusz autora, kompozytora, dekoratora, malarza, zapalacza lamp, i wszystkich; on początkiem i końcem wszystkiego; królowa się na tém rozumié. Spodziéwam się, żeś ceny miejsc podniósł w trójnasób.

»O, i wyżéj jeszcze, mój panie Gretry, każde miejsce po luidorze; czyż mógłem niżéj upuszczać, bez obrażenia dostojnych osób dworu?«

W téj chwili powstał nadzwyczajny zgiełk i tętent koni, głośne okrzyki, i królowa wpadła tak prędko, że ja, i szyldwach zaledwo mieliśmy dość czasu broń sprezentować. Towarzyszyło jéj dwóch strojnych, uperfumowanych panów i młoda dama, w której poznałem towarzyszkę królowéj w Montreuil.

Sztuka rozpoczęła się natychmiast. Le Kain i pięciu innych artystów z *Téâtre française* przybyło z Paryża dla przedstawienia trajedyi *Irene*; sztuka ta, jak uważałem, niczém przerywaną nie była, bo królowa przez cały czas jéj trwania rozmawiała i śmiała się bez ustanku.

W tém usłyszałem głos kobiécy, który się wszczął na scenie, i aż mię w głąb serca przeniknął; zadrżałem i oparłem się o karabin. W całym świecie jeden tylko znałem głos taki, głos wychodzący z serca, odtętniający się w piersi jak arfa, głos pełen namiętnego zapału... Przyłożywszy ucho do drzwi, i zaglądając przez szczelinę na teatr, mógłem się cokolwiek przypatrzyć grze aktorów; jakaś ładna osóbka spiéwała:

»Maleńka szara ptaszyna
Gniazdeczko sobie zaczyna,
I nim wysiadzie pisklęta,
O ich przyszłości pamięta.«

I mówiła do swego kochanka:

»Kochajże mię, kochajże mię, mój królewiczu!«

A kiedy kochanek na oknie siedzi, w obawie, aby nie obudził się jéj śpiący ojciec, i nie postrzegł *Colasa*, zmienia odbitkę zwrotki, i spiéwa:

»Uchodź kochanku! możesz być widziany.«

Te wyrazy przeniknęły mię dreszczą, gdym postrzegł, jak ta *Róża* podobną była do Pierretty; ten sam wzrost, ten strój, te różowe i niebieskie wstęgi, ta biała spodniczka, te same proste i szczére rysy, ta zgrabna nóżka, trzewiki ze srébrnémi sprzączkami, czerwono-niebieskie pończochy: »Boże mój!« rzekłem do siebie, »jakże ci aktorowie przedziwnie umieją udawać cudzą postać! A przecież to panna Columbe, z Paryża pocztą przywieziona, mieszkająca w spaniałym hotelu, ubiérająca się jak księżna jaka, otoczona licznym dworem, a tak do Pierretty podobna!... Niestety! moja biédna Pierretta nie spiéwała tak zachwycająco, chociaż ma głos równie piękny.«

Nie mogłem wytrzymać, aby nie patrzéć ciągle przez szczelinę, pokąd drzwi od loży nie otworzyły się przede mną. Królowéj było gorąco, kazała lożę otworzyć. Słyszałem jak mówiła tonem głośnym i prędkim:

»Cieszę się; nasza awanturka nieskończenie zabawi króla. Książę szambelan niech oświadczy pannie Columbe, że nie pożałuje tego, iż mi pozwoliła rozrządzić nazwiskiem swojém. Jakże mię bawi ten wieczór... Kochana księżno,« mówiła, obracając się do pani Lamballe; »zastajemy tu mnóstwo widzów, którzy nie wiedząc o tém, najszlachetniéjszy pełnią uczynek. Czy widzisz jak poczciwi mieszkańcy Orleanu i dwór cały, zachwyceni tą śpiewaczką, radziby klaskać, dajmyż hasło!« W tém królowa zaklaskała piérwsza, a wszystka publiczność, jakby jéj się rozwiązały dłonie, za każdém słowem *Róży* brzmiała oklaskami. Królowa nie posiadała się z radości: »W tej sali,« mówiła do pana Biron, »jest trzy tysiące kochanków, lecz tą razą ich serca goreją nie dla mnie, tylko dla *Róży*.«

Widowisko skończyło się; damy osypały *Różę* bukietami: »Kędyż jest prawdziwy kochanek?« rzekła królowa do pana Lauzun, który wyszedł, i dał znak memu kapitanowi, przechadzającemu się w przedsionku.

Tu znowu zadrżałem; przeczuwałem, że mię coś spotka, ale nie pojąłem, co i dla czego. Mój kapitan skłonił się nizko, i mówił z cicha z panem Lauzun. Królowa spojrzała na mnie; oparłem się o mur, aby nie upaść. Wszyscy zeszli ze wschodów; tu postrzegłem Michała Sedaine, postępującego za Gretrym i dyrektorem, mającym śmieszno poważną minę; prowadzili Pierrettę, Pierrettę z duszą i ciałem... moję siostrę, moję żonę, moję Pierrettę→ Montreuil!

Dyrektor wykrzykiwał z daleka: »Boski wieczór! ośmdziesiąt tysięcy franków przychodu!«

Królowa zatrzymała się przed lożą i z wesołą dobroczynną tkliwością rozmawiała z Pierrettą, wziąwszy ją za rękę: »Pójdź dziecię moje; trudno w innym stanie bez grzéchu, w jednéj godzinie na taki posag zarobić. Jutro pójdziemy do plebana w Montreuil, który, spodziewam się, obiedwie nas rozgrzészy. Przebaczy ci, żeś raz w życiu grała komedyję, a to najmniéjsza, co uczciwa dziewczyna przewinić może.«

Potém pozdrowiła mię... Mnie pozdrowić; mnie na pół umarłego! to okrucieństwo.

»Mam nadzieję,« rzekła, »że pan Mathurin nie będzie śmiał wzgardzić majątkiem Pierretty; jam nic nie dodała, to jéj własna praca.«

* * *

Tu opowiadający powstał, wyjął portret Pierretty, który z rąk do rąk przebiegeł: »Oto ona,« rzekł, »w tym samym stroju, jak ją księżna Lamballe malowała... Twoja to matka, dziecię moje,« rzekł do małéj dziewczynki, którą na kolanach trzymał. »Nigdy już potém nie grała komedyi, bo jednę umiała tylko rolę, rolę *Róży*, któréj nauczyła się od — królowéj.

Stary ten wąsacz był wzruszony swém opowiadaniem, łza mu spłynęła po twarzy.

LITERATURA KRAJOWA.

W drukarni Stauropigii lwowskiéj wyszły témi dniami rymy żałobne w narzeczu ruskiém, pod napisem: *Słeza na hrobi* (łza na grobie) *jeho wysokoprepodobija i wseczestnijszaho hospodina Michaiła barona de Neustern Harasiewicza, Archipresbytera, Kriłosa Mitrop. Lwiehor.* i t. d.; wydane przez wychowańców seminaryjum lwow. obr. gr. kat. z godłem: *Na Haliczym nebi nowa zorja zhasła.*

Azbuka i abecadło. Uwagi nad rozprawą: O wprowadzeniu abecadła polskiego do piśmiennictwa ruskiego, napisaną przez ks. Łozińskiego, umieszczoną w Rozm. Lwow. r. 1834 Nr. 29.; w Przemyślu, w drukarni biskupiéj obr. gr. kat., 1836, str. 30. — Autor tego pisemka, wymierzonego przeciw rozprawie ks. Łozińskiego, mającéj na celu zaprowadzenie miasto kirylicy abecadła polskiego, wychodząc zapewne z czysto literackiego źródła, nie może pojąć i biedzi się nad tém, co znaczy (słowa Łozińskiego): wcielenie literatury sławiańskiéj do ogólnej massy literatury europejskiéj; jakby nie było rzeczą jasną samą przez się, że język i literatura, będące żywém zwierciadłem narodu, żyją wtenczas tylko, kiedy się podniosą swoim kształtem i duchem do tego szczytu doskonałości, aby inne literatury więcéj ukształcone uznały w nich godnych siebie spółzawodników. Myśl ta tłumaczy postęp. W dalszym ciągu nie wié, jakimto sposobem wydumać i ustanowić pisownię, aby wszyscy Sławianie, ba cała Europa téjże używała. Nikt nie wątpi, że to jest zadaniem arcytrudném, a nawet arcyśmieszném; ale nie chodzi tu o pisownię, tylko o kirylicę, w którą bił najwięcéj ks. Łoziński, a recenzent zechce pamiętać, jak korzystny wpływ wywiera przedruk łacinskiémi czcionkami kilku dzieł poetycznych sławiańskich, a jeszcze więcéj przedruki płodów literatury oryjentalnej. Autor uwag unosi się nad osobliwą pojedyńczością kiryliki!! która mimo téj galanteryi recenzenta nosi na sobie piętno całéj dzikości runicznej, wcale nie powabnéj, a tém mniéj łatwéj dla oka. Następnie kilkoma tytułami odwiecznych kronik i pieśni, wygrzebanych z pyłu wieków chce obalić zdanie ks. Łozińskiego, że język ruski nie był dotąd literackim. Jak gdyby np: Niemcy, mając jedne *Heldenbuch* i *Niebelungenlied*, a żadnych płodów poźniéjszych, chcieli się szczycić, że mają literaturę. Wszakże parę pieśni i kronik, pisanych językiem, jakim dziś nikt nie mówi, nic jeszcze nie stanowi. — W końcu zamyka swoje uwagi słowami pewnego, nie z płytka myślącego Polaka(?): »Czy podobna, aby abecadło polskie dostateczne było do wyrażenia wszystkich ruskich głosów, kiedy nie jest doskonałém do oddania wszystkich polskich?« Na co równie sofizmatycznie możnaby rzecz zawiązać: Czy podobna, aby autor, który tyle rzeczy nie pojmował w rozprawie ks. Łozińskiego, mógł przeciw niemu zbijające uwagi wymierzyć? *S.*

Nie daleko Insterburgu w Prusiech uwięziono człowieka, któremu dowiedziono, iż przed rokiem zamordował pewnego pastérza. Zapytywany o powód do tej zbrodni, wyznał, iż innego nie miał zamiaru, jak dostanie człowieczego łoju, z którego zrobiwszy świece, można się stać niewidzialnym. Jakaż przejmuje nas zgroza, jeżeli tak okropna zbrodnia, pochodząca z nieoświecania ludu, w naszym wieku wydarzyć się może!

PP. Fiers i Stanawald, w Kwedlinburgu, odkryli sposób wydobywania z buraków w przeciągu dwunastu godzin tyle cukru, że z jednego cetnara buraków otrzymują 12 funtów. Pan Brochhoff nabył tę tajemnicę za 20,000 fr. z zastrzeżeniem, aby nikomu jéj nie odkrywano, i aby praktykowanie onéj w początkach, miało miejsce tylko w nadreńskich prowincyjach. W sposób ten wyrabiany cukier, ma być bardzo czysty i słodki.

Jeszcze r. 1812 zaczęły powstawać fabryki cukru krajowego, kiedy Napoleon zamknął porty Europy dla towarów angielskich, i rząd francuzki wszelkiemi środkami zachęcał chemików do wynalezienia surogatu trzciny cukrowéj. Napoleon, przewidując przyszły wzrost fabryk

cukrowych w kraju, wspomniał, iż przyjdzie dzień, w którym fabryki te ubiegać się będą o piérwszeństwo z osadami. W ówczas nikt temu nie chciał dać wiary. Żartowano sobie z tego przepowiedzenia, i jedna z licznych karykatur przedstawiała małego króla Rzymu, jak mu mamka dawała do ust burak, mówiąc: »*Mangez, prince, papa dit, que c'est du sucre.*« — »*Eh bien*, (dodaje *Journal de Frankfort*, zkąd ten artykuł wyjęty) *Papa avait raison!*«

Uczyniono postrzeżenie, iż woda źródeł wsi Recoaro, leżącéj w weneckiéj delegacyi Vicenza, liczącej 3,500 mieszk., używana w obfitości wylecza na kamień urynowy, tak, że bez gwałtownych środków obejść się można. Pewna osoba z Tyrolu 70letnia, została w roku przeszłym przez użycie téj wody na kamień uzdrowioną, a to w ten sposób, że to uciążliwe ciało kawałkami odchodziło z uryną. Doświadczony lekarz, radzca rządowy Brera, napisał z tego zdarzenia rozprawkę, w któréj żadnéj wątpliwości o skuteczności tych wód nie zostawia. Co za dobrodziejstwo dla cierpiącéj ludzkości, gdyby to doświadczenie częstszemi przykładami się sprawdziło!

W Paryżu przedstawiano operę Mercadantego: *I briganti* (naśladowanie Zbójców Szyllera), którą z wielkiemi oklaskami przyjęto. — Rossyni z swojego uspienia i ulubionego *dolce far niente* obudzony szczęściem i sławą Mayerbeera, zaklął się, że nową operę napisze, aby przypomnieć muzykalnemu światu, że słowik z Pesaro jeszcze zaspiéwać zdoła.

Przychód w teatrach francuzkich w Paryżu wynosił w roku przeszłym około siedm milijon. frank.

Królewna francuzka Maryja z wielkim talentem zajmuje się rzeźbiarstwem. Ostatnia statua jéj roboty należy do najpiękniejszych utworów nowszéj sztuki francuzkiéj. Ta córka Filipa kończy teraz statuę wysokości stóp sześciu, a ci, co mieli zaszczyt widzieć tę nową jéj pracę, dzieło to z największém uniesieniem chwalą.

Być szczęśliwym posiadaczem pewnéj summy, nie bywa czasem bez kłopotu, oddawanie na procent ulega przypadkom, zakopywanie ma też swe nieprzyzwoitości, jak tego dowodzi bajka Lafontena. Trzeba przecież przedsięwziąć cokolwiek; zwłaszcza kiedy się nagle w podróż wyjeżdża. Tak sobie rozumował poczciwy jeden mieszkaniec miasta Pau we Francyi, przypatrując się niespokojném okiem summie 4,000 frank. w grubéj zapleśniałéj monecie, nzbiéranych długoletnią pracą i pielęgnowanych w najtajemniéjszéj kryjowce odwiecznego kantorka. Nakoniec postanowił polecić skarb swój czujności władzy municypalnéj i poszedł prosić miejscowego *maira* (burmistrza), iżby pod jego niebytność kazał miéć oko na dom, gdzie zostawały pieniądze i stara jego żona niezdolna do ich obrony. Urzędnik przyrzekł, i zaspokojony właściciel franków puścił się w drogę. Przed nocą żandarm, od dawna z obojgiem gospodarstwem zażyły, przyszedł prosić o nocleg, i po wieczerzy położył się we wskazanym mu pokoju. — Wkrótce po pół nocy kołacą do drzwi. Staruszka otwiéra; wpadają dwaj zamaskowani ludzie i schwyciwszy ją, grożą zabiciem, jeżeli nie powié, gdzie są pieniądze. Ulegając takiéj ostateczności, gospodyni mówi, iż pójdzie po pieniądze i sama je przyniesie, ale natomiast budzi śpiącego żandarma. Ten przybywa z pistoletami i obu złoczyńców zabija. Zbiegają się sąsiedzi posyłają po *maira*, ale go w domu nié ma. Przybywa jego adjunkt, zrywają maski z trupów i poznają w nich — samego *maira* i jego syna.

Wyrachowano, że sławna klacz Miss-Annetta przyniosła jéj posiadaczowi, lordowi Seymour, 300,000 frank. na gonitwach we Francyi i Belgii odbytych. Jul. Janin, donosząc o ostatnich wyścigach w Chantilly tak mówi, wyrażając się swoim zwykle dowcipnym sposobem: »Nie pytajcie mię, kto jest Miss-Annette. Również moglibyście mnie pytać, kto jest panna Mars. Od swego czwartego roku Miss-Annette stanowi wszystkich rumaków zaszczyt i sławę na gonitwach. Nié ma konia, któregoby nie pokonała. Ma ona teraz 6 lat, na przyszły rok już nie będzie mogła biegać. Wczoraj odniosła ostatnie wawrzyny, ale z najświetniejszym tryumfem. Nigdy jeszcze żaden artysta nie okrył się większą sławą, opuszczając widownię, sam nawet Talma nie byłby się mógł równać z Miss-Annette. Wczoraj jadła owies z przepysznéj złotéj czary, którą odniosła jako największą nagrodę. Otóż do sławy taką dochodzi się drogą!«

Nie daleko Rouen jest szpital waryjatów, zwany *Maison de St. Yon*. Waryjaci, z oddziału szalonych, mieszkają tam w budowie podzielonéj na małe cele, i składającéj kwadrat; środek, którego zajmuje ogród, napełniony jest rozmaitemi kwiaty. Żadna krata nie broni przejścia do kwater kwiatowych, które szaleńcy mogliby zniszczyć zupełnie, ale rzecz dziwna, nieszczęśliwi ci, których jedyną rozkoszą wszystko psuć i łamać, tak, iż nie można im dać innych sprzętów prócz żelaznych, nigdy się nie rzucają na bezbronne kwiaty; owszem, wśród najmocniejszego przystępu wściekłości, zatrzymują się przed niemi z poszanowaniem, i widok kwiatów koić się zdaje ich zburzone zmysły. Żaden z dozorców nie pamięta, aby waryjat kiedykolwiek zrobił w ogrodzie szkodę. Azaliż ten wpływ kwiatów nie wynika z jakiegoś tajemnego związku między niemi, a umysłem ludzkim?

Zastanowienia godną jest instynktowość żółwi, która je pobudza co roku do wybiérania osobnego miejsca na znoszenie jaj. Wyspy Cayman w pobliżu Jamajki nawiedzane są niezmiernem mnóstwem tych zwierząt, które tam przez morze z odnogi Honduras (450 mil. ang.) płyną, bez mappy morskiéj i kompasu, a to z taką dokładnością, że częstokroć okrętom zbłąkanym na morzu, płynące żółwie były przewodnikami. Pobrzeże wysp Cayman jest nizkie, piaszczyste, a przeto wysiadaniu żółwich jaj bardzo sprzyjające, obfitość żeru pod wodą około wysep jest dogodną dla młodych, które nadzwyczajnie się mnożą, albowiem samica znosi 900 jaj.

Machina siły powszechnéj. Toż samo odkrycie, które P. Schmidbauer w zamku Hakenzell w bliżkości Straubingi zrobił, a które w Niemczech tak źle przyjętem i wyśmianém zostało, ponowione jest teraz w Anglii przez dr. J. T. Porter; zdaje się ono być przeznaczonem do rywalizowania kiedyś z cudami machiny parowéj. Wynalazek ten, oparty na zasadzie ciśnienia wody. Jeźli wierzyć mamy wynalazcy, okręt, wprawiony w ruch za pomocą tego aparatu, aby z równą szybkością pędził, co najsilniejszy okręt parowy, nie potrzebuje na całą drogę do Indyjów wschodnich, jak cztéry nanosin wody. Całe przyrządzenie jest bardzo proste, co wcale nie przeszkadza machinie do wywiérania bardzo znacznéj siły, bez obawy, aby najmniejsze niebezpieczeństwo (ważna okoliczność) miało zagrażać okrętowi, będącemu pod wpływem siły działalnéj. Uwaga uczonych i mechaników już się zwróciła na ten wynalazek, mogący sprawić wielkie wstrząśnienie w przemysłowości i mechanice. Wielu inżynierów zastanawiało się nad tą machiną; składa się ona ze 4 walców, z których dwa idą ruchem kołowym, a drugie dwa w sposób kieratów. Dwadzieścia pięć uncyj wody i léwar są dostateczne do nadania ruchu tym dwom walcom. Jedném uderzeniem o stępel pompowy można złamać drąg grubości półtora cala. Jeżeliby ten wynalazek w pożyteczny urzeczywiścił się sposób i dał się do żeglugi przystosować, natenczas nieocenione spłynęłyby korzyści.

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.